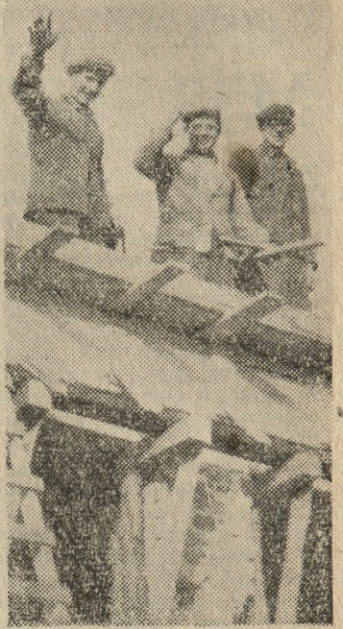


Nie poznacie Lubonia



Uchwałą Prezydium WRN w Poznaniu przyfabrycz ne osady podmiejskie Luboń i Zabikowo, łącznie ze wsią Lasek, podniesione zostały do rangi miasta, ze wszystkimi wypływającymi stąd przywilejami i perspektywami rozwoju wymi. Nie można należycie docenić moralnej wagi powyższego postanowienia i jego praktycznych konsekwencji dla mieszkańców wymienionych osad, nie znając — choćby w skrócie — przeszłości tego ongiś „zapomnianego przez Boga i ludzi” zakątka.

To nie jest wcale dawna i długa historia. Dobrze pamiętają te dni starzy mieszkańcy osiedla.

— Tu był sam płach i gлина, a nad rzeką mokradła — mówi stara Antczakowa. — Wycyganili grunta od gminy prawie za darmo i pobudowali fabryki. Ludzie zaczęli osiedlać się wokoło, aż pod Zabikowo. Najwięcej robotnicy i kolejarze, sama biedota. Światła elektrycznego nie było, drogi — gdzie tam, między domami błoto aż po łyski, a do Poznania dreptało się na plechotę. Ani to wieś, ani miasto. Kto inny chciałby mieszkać na takim wynajewie?

Takie to były początki na krótko przed pierwszą wojną światową.

Czas międzywojennego dwudziestolecia przyniósł tym ludziom gorzkie, pogłębiające się z każdym rokiem rozczarowanie. Liczba mieszkańców gminy wzrosła do 12 000, ale — 1200 robotni-

Zygmunt Jaski

ków nie miało pracy. Nie było domu w gminie, z którego przynajmniej jedna osoba nie figurowałaby na liście bezrobotnych. Dzieci pozabawionych pracy i doraźnie zatrudnionych chodzili bosi i obdar- te, chude i wieczne łaknące chleba, którego im rodzice dać nie mogli. Co śmielsi z młodych zaraz po wojnie emigrowali za pracą do Francji i Belgii. Wśród pozostałych na miejscu żerowali różni macherzy i kombinatoryzy spod ciemnej gwiazdy, pseudo-działacze robotniczy, którzy wysługiwali się fabrykantom, баламучąc robotników frazesami i obietnicami.

Fabryki i cegielnia pracowały systemem dla właścicieli najwygodniejszym i najtańszym, a dla robotników — najbardziej krzywdzącym, bo systemem kampanijno-sezonowym. Kapitał zagraniczny, który poważnie uczestniczył w lubońskich przedsiębiorstwach, nalegał na to, aby zakłady były eksploatowane do maksimum. Toteż panowała tu dzika, rabunkowa gospodarka, in westycji żadnych nie przeprowadzano, a wielu pracowników otrzymywało jako wynagrodzenie za całodzienną dorywczą robotę — 2 złote.

Tymczasem hitlerowski właściciel cegielni w Zabikowie, Fechner, za pieniądze wyciągnięte z trudu i potu polskich robotników budował sobie w Berlinie kamienicę i wille, wywoząc z Polski potrzebne na ten cel pieniądze w oponach własnego samochodu...

kur i kaczek. Drudzy — do dyrekcji z... kartkami od wielkanocnej spowiedzi, poskładanymi starannie według lat. Z jednej strony bowiem mówiono im, że aby było lepiej trzeba kochać „dziadka” i słuchać komendanta miejscowego posterunku policji, z drugiej — recepta na pomyślność była jeszcze prostsza: wystarczy „bić Żyda”, który jest sprawcą wszystkich nieszczęść.

Niektórzy próbowali. Stalali się jak najpokorniej znosić swoją nędzę, jak najposlušniej wykonywać wszystkie zarządzenia wojewodów i starostów i nawet kochać „dziadka”. Tylko Żydów nie bili. Pewnie dlatego, że ich nie było pod ręką.

Robotników długo oszukiwać nie można — mówi Józef Cielas, przewodniczący rady zakładowej Zakładów Ziemniaczanych w Luboniu. Z tej chaotycznej płatności pojeźciowej na terenie sanacyjno-endeckiego kondominium w żabikowskiej gminie, musiała w końcu wyłonić się świadomość klasowa i konsekwentny, lewicowy ruch robotniczy. Rychło znaleźli się doświadczeni robotnicy, którzy potrafili wskazać towarzyszom pracy głębokie korzenie doznawanych krzywd społecznych, organizować wyzyskiwanych i prowadzić ich do walki o naj-słuszniesze prawa.

W gabinetach wojewódzkich powiało zagrożenie tuż pod bokiem Poznania wykwiła nagle realna i bliska groźba — Czerwony Luboń.

A ludność Lubonia istotnie stawała się coraz bardziej bojowa. Były zebrania, strajki, głodówki, marsz na Poznań i — jedyna w swoim rodzaju okupacja urzędu gminnego przez bezrobotnych.

Demonstracja ta była zorganizowana wiosną 1936 r. Wzięło w niej udział trzystu bezrobotnych, którzy zjawili się pewnego ranka w wójtostwie gminy Zabikowo, zajęli bu-

Co budujecie? Przeszkole i żłobek. Dla kogo? Jakto dla kogo — dla naszych dzieci. Słusznie, w tym nowoczesnym i doskonale wyposażonym budynku będą spędzały czas dzieci robotnicze — dzieci pracowników Lubońskich Zakładów Ziemniaczanych. Skończycie szybko! Przed zimą będzie dach gotowy. No, to powodzenia w pracy!

naszej rozmowy, skulony na łóżku.

— Jego ojciec zarabiał 2000, matka 800, a ja i druga córka po 750. Razem mamy na 6 osób — 4300 zł miesięcznie. Bo jest jeszcze 9-letnia Franja. Ogród daje owoce i warzywa, parę kur trzymamy i króliki. Głodniemy jeszcze nie byli, ubrać się też mamy w co. I nikt na fabryce — dodaje z podniesioną głową — żaden dyrektor nie zarabiał 25 razy tyle, co robotnik. A mojego starego to najwięcej gryzło. Ze jeden człowiek musi żyć z rodziną za 100 zł miesięcznie, a drugi bierze sobie 2500.

Milczymy. Słychać tylko sapanie przejeżdżającego Stacha i głośne cykanie budzika.

— Ale nie z tego gryzienia zmarł — kończy Antczakowa, odwracając się, by poprawić kilimek na maszynie do szycia. — Gruźlica go zżarła. Kiedy nie było co jeść, chodził na meliorację. Płacili po 20 groszy za godzinę, bo to robota z łaski — z funduszu. A że był chudeławy z tego głodu, to go i zmogło.

Patrzę na domki rozrzucone wśród drzew. Pełno ich wokół lubońskich fabryk. Hen, aż pod Zabikowo. Jeszcze trochę a Luboń „dojdzie” do Zabikowa, albo odwrotnie — Zabikowo do Lubonia. Bo obie części osiedla ciągną ku sobie z jednakową siłą. Między parcelami — gładkie, wysypane żużlem ulice. Ślipy z przewodami elektrycznymi. Anteny radiowe. Ten gmach w budowie, to żłobek i przedszkole dla dzieci robotniczych. Szosa do Zabikowa mknie duży, czerwony autobus. Na pobliskim słupie plakat reklamowy miejscowego kina. „Preludium ślawy”. W dużym bloku — sklepy: drogeria, bar mleczny, fotograf.

Co zrobiono tutaj w ciągu pierwszych dziesięciu lat Polski Ludowej?

Przed wszystkim — gminą nie rządzi już były oficer carski, tylko Rada Narodowa, złożona z 22 radnych, wśród których największy odsetek stanowią robotnicy i małorolni. Uruchomiono fabrykę rowerów, która leżała w gruzach, cegielnię i 3 zakłady: Fosfory, Luboń i Luba. Bezrobotnie znikło bez śladu. Teren gminy zelektryfikowano, wybudowano szosę i zorganizowano komunikację autobusową z Debcem. Wytyczono około 60 km ulic — duża część ich ma twardą nawierzchnię. Otwarto 5 szkół podstawowych, bibliotekę, stałe kino o dwóch aparatach, aptekę, ośrodek zdrowia, gabinet dentystyczny, gospodę ludową i wiele sklepów. Powstały dwa kluby sportowe, posiadające własne boiska. Buduje się domy mieszkalne dla rodzin robotniczych.

Oto przegląd osiągnięć na pewno niepełny. Czy to dużo, czy mało? Niech wam odpowiedzą ludzie z Zabikowa, którzy do 1939 roku siedzieli w domach bez światła a do Poznania chodzili po błocie nie chodząc, bo jedyny autobus przy-

(Dokończenie na str. 2)

Na południe od Dunaju (3)

Młodość miasta-muzeum

Opowieść Eftima Stojanowa, kapitana III rangi Wojsk Ochrony Wybrzeża, miała w sobie coś ze szkicu noweli filmowej. Prostymi słowami żołnierza opowiedziana została historia, która wydarzyła się pod miastem Nesebr u wybrzeża Morza Czarnego.

Kapitan władał nieźle językiem rosyjskim. Ale trzeba było mocno nadstawić ucha, bo na wyboistej drodze pudło autobusu trzęsło niemiłosiernie.

— Jeszcze car był w najlepszej komitywie z Niemcami — mówił Stojanow — jeszcze tu wszędzie mocno siedzieli faszysti, kiedy w okolicznych lasach i górach formowały się pierwsze powstańcze oddziały. W Kobleszkowie pod Nesebrem mieściła się siedziba podziemnego komitetu partii, skąd szły rozkazy i polecenia do okolicznych ośrodków ruchu oporu. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności faszysti wpadli na trop organizacji. Członkowie komitetu zdołali umknąć w góry, ale oddziały rządowe nie oszczędziły. Kobleszkowa. Nieludzka pacyfikacja zakończyła się wymordowaniem większości mieszkańców i spaleniem wsi. Tylko nielicznym udało się uciec na południe w okolice Burgas do działającego tam oddziału partyzantów...

CO STAŁO SIĘ Z ELITĄ?

Za oknami autobusu coś nagle zamigotało. To promienie słońca, odbite od lśniącej tafli morza, uderzyły o szyby. Szosa łagodnym zakretem zbliżyła się do wybrzeża, spływając prosto w morze wąskim, parumetrowym przesmykiem. Na drugim jego końcu wyrastał z morza półwysep. Bielify się na nim jasne plamki domostw. Wjeżdżaliśmy w mury Nesebru, jednego z najstarszych miast Bułgarii.

— Partyzancki oddział — ciągnął kapitan Stojanow — nosił nazwę „Naroden Jumbuk” („Pieśń ludu”) i skupiał najlepszych patriotów tej części wybrzeża. Między innymi znalazł się w nim młody mieszkaniec Nesebru — Mikołaj Łyskow z żoną Jana. Kilkuletnia córeczka Elita. Dowództwo faszystowskie wiedząc o istnieniu oddziału powstańców, postanowiło rozprawić się z nim jak najszybciej. Sciągnięto na gwałt posiłki. Przecięto 300 partyzantom stano do walki przeszło sześć tysięcy dobrze

uzbrojonych żołnierzy. Bitwa, do której doszło w rejonie portowego miasta Burgas, nie mogła przynieść zwycięstwa partyzantom. Wycofali się oni z ciężkimi stratami. Łyskow, który walczył do ostatka jak lew, został śmiertelnie ranny kar- taczem. Umarając, oddał rewolwer żonie z gorącym wezwaniem, by walczyła dalej



Sliczne są dzieci Nesebru. Oto Iwanka i Sultanka Atanasowe...

Po bitwie Jana wraz z córką ukryła się we wsi Orezaria w chacie znajomych ojca. Ci podstępnie wydali ją w ręce faszystów. Razem z grupą dwudziestu patriotów, zginęła razem z nią kula plutonu egzekucyjnego...

Autobus, sapiąc ze zmęczenia, stanął na placu przed budynkiem gospody. Wszyscy poczęli tłoczyć się ku wyjściu.

— A co się stało z małą Elitą? — zapytał kapitan, który wstał już i poprawiał pasek munduru.

W tej chwili kierownik wycieczki zaczął głośno przedstawiać plan zwiedzania miasta. Ktoś odwołał kapitana na przód wozu. Szybko znikł nam gdzieś z oczu, nie zdążywszy odpowiedzieć na ostatnie pytanie.

Ruszyliśmy do miasta.

POD UROKIEM ANTYKU

Na kamiennym bruku uliczek Nesebru kładła się cienie nitek murków i białych domostw otoczonych małymi ogródkami. Nad bramami pna się wsparte na żerdziach, gałęzie winorośli, tworząc zielone sklepienia i baldachy. W którąkolwiek uliczkę wejdziesz, wyprowadzi cię ona w

Reportaż specjalnego wysłannika „Głosu Wielkopolskiego”

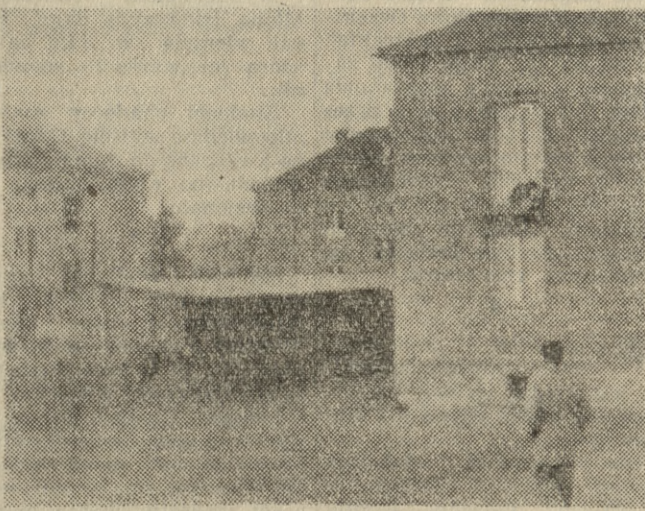
stronę morza. Miasto zbudowane jest na skalistym półwyspie, kilkunastometrowej wysokości brzegi podmywa przywiała, niespokojna fala.

Wystarczy przymknąć oczy, aby przenieść się w odległe czasy młodości miasta.

Jest rok 510 przed naszą erą. Okręty kupców doryckich dobijają do cichego wybrzeża. Dogodne położenie, łagodny klimat i łatwość obrony — skłaniają przybyszów do założenia kolonii. Kechadon — najstarsza kolonia grecka na Morzu Czarnym rozwija się w ośrodek handlu z Egiptem i Rzymem. Później za czasów pierwszego carstwa bułgarskiego (619—1018) Nesebr jest wojenną bazą, wypadową dla walczących z Bułgarami bizantyńczyków, zmieniając zresztą wielokrotnie swych władców.

Przybysz, przemierzający ciche zaułki tego starego osiedla, o którym podanie mówi, że gościło kiedyś wielkiego Homera, znajdzie na każdej niemal uliczce ślad tych odległych czasów. Jak nieme pomniki umarłych epok, sterczą wśród domostw ruiny pięćdziesięciu wieków. Nesebr był kiedyś miejscem zryku dla wodzów Hellady i Bizancjum, którzy popadli w niełaske władców. Każdy z nich wznosił dla siebie świątynię. W budowie, wystroju, rzeźbach i malowidłach mniej lub więcej zachowanych resztek tych budo-

(Ciąg dalszy na str. 2)



Także miasto Luboń będzie miało swój „Dziebiec”. Oto fragment nowopowstającego osiedla dla pracowników Zakładów Chemicznych. Dwa bloki są już wykonane i zamieszkałe, trzeci będzie wkrótce gotowy. Plan przewiduje dalszą rozbudowę osiedla.



„Parcelkę kupiło się za ośzczędności, cegłę za wspólną pracę nadgodzinową, ścianę postawił teści-murarz, a instalację złożył mąż-technik instalacyjny. No i w 1949 r. przeprowadziliśmy się z jednego pokoju do własnego domu!” — opowiada Henryka Cholewa swojej sąsiadce.

dynek i domagając się pracy — okupowali go przez cały dzień. Owczesny wójt (był nim b. oficer carski) wezwał policję. Wtedy bezrobotni pokladli się na podłogach wołając: „Masakrujcie nas, nie mamy już nic do stracenia!” Nie pomogły liście „patriotyczne” wezwania komisarsza. Demonstranci nie ustąpili wcześniej aż przywieziono z Poznania zobowiązanie zatrudnienia ich na drogach powiatowych przez trzy dni w tygodniu. Było to wielkie zwycięstwo.

Stoję na tej samej podłodze, na której twarząmi w dół — jak przed gestapo — leżeli rozpaczliwi bezrobotni. W pokojach, gdzie odbywała się ta dramatyczna demonstracja, krzatają się dziś przedstawiciele Frontu Narodowego i organizacji masowych. Przygotowują oni wybory 50 radnych do Miejskiej Rady Narodowej. Wśród wysuwanych kandydatów znajdują się pro-downicy pracy i zastrzeżeni robotnicy, którzy 18 lat temu wołali na tym samym miejscu rozdzierającymi: „Masakrujcie nas, nie mamy już nic do stracenia.”

Antczakowa ruchem głowy pokazuje 7-letniego chłopca, który pilnie słucha

O WYBORACH

Wspomnienia pana Ciumkiewicza

Według pana Ciumkiewicza, który „oparł się o wzory”, który stał się „oblicza” — inne winny być wybory!

Pan Ciumkiewicz oczywiście z łzą wspomina „dawne czasy”, gdy „osoba” był na liście i nabijał grubo kasę.

Kiedy ryczał na zebraniach, że w powiecie nędzę zniesie, że o n tylko lud ośłania, nie nie myśląc o swej kiesie.

Kiedy list szesnaście było — on miał swoją — siedemnastą; wielce ufny swoim siłom obiecywał koniec „chwastom”.

W swoich bohaterskich mowach pan Ciumkiewicz bił w rywali — i płynęły mętne słowa na coraz to innej sali...

Potem zaś — już całkiem serio — forszę brał, wskazówki, rady od samego pana Bleuriot („Pudry, kremy i pomady”).

Po wyborach — Ciumkiewicza ogarniały nowe prądy — nowe zyski znów obliczał — nowe znów wychwalał rządy.

A cóż teraz?? Jakież rady... Inne całkiem w nich oblicza — brak uznania, brak posady — i nikt nie chce Ciumkiewicza...



M. Maliszewski

Skromność

Zadzierał nosa stary borsuk. Aż zaczęły skarżyć się zwierzęta, że borsuk stał się zarozumiały.

Weszał więc go do siebie niedźwiedź i poucza:

— Musisz być trochę skromniejszy, braciszku...

— No dobrze, ale jak to zrobić? — martwi się borsuk.

— Nie ma rady, musisz popracować nad sobą.

— A jeżeli nie będę zadzierał nosa, czy już będę skromnym?

— Eee! — krzywi się niedźwiedź. — Co to za skromność? Trzeba, żeby tę skromność wszyscy widzieli. Żeby ją podziwiali, za przykład stawiali. O, to jest skromność! Rozumiesz?

(tłum. z rosyjskiego J. Księski)



Nagrobek biurokraty

Niech ob. odmówi za duszę pociorek.

Ale nie dzisiaj. Przyjdź ob. we wtorek.

Nagrobek referenta Wydziału Kwaternkowego

Życzym, byś krócej leżał, bracie, niż nasze wnioski w twym referacie.

J. B.



...jeżeli prowadzenie zimnej wojny doprowadza podlegaczy wojennych do białej gorączki.

...jeżeli bliźniacze rodzeństwo czuje się osamotnione.

...jeżeli miłośnik przyrody obżera się sztucznym miodem.

...jeżeli jasnowidz błądzi po omacku.

...jeżeli ktoś drugiemu w sposób jednoznaczny opowiada dwuznaczności.

...jeżeli „Dziś i Jutro” ukazuje się dopiero pojutrze.

...jeżeli dentysta pokazuje drugiemu swe zęby.



(„Regards“)

HISTORIE
BEZ SŁÓW

— Próbowałem już wszystkiego i jakoś nie pomaga. Teraz pozostało mi tylko to ostatnie...

(Wg „Eulenspiegel“)

Na amerykańską nutę

Złote rybki i dolary

Jim Waterstone z Chicago (USA) kazał sobie wydrukować bilety wizytowe z dopiskiem dr. W jego luksusowym mieszkaniu telefon ciągle jest w użyciu. Dr Jim Waterstone oparł swą świetną egzystencję na leczeniu złotych rybek.

Nie, to nie dowcip, to nie anegdota. Posłuchajcie.

Wśród kobiet amerykańskich, zwłaszcza samotnych, należy do dobrego tonu hodować w domu choćby jedną złotą rybkę. Jeśli stworzonko to, nie daj Boże, zachoruje, wówczas lamentom nie ma końca. Bo i to należy do dobrego tonu. Waterstone sprytnie dał znać o sobie „pantoflową pocztą”, że jest wybitnym ichtologiem i lekarzem ryb, właśnie tych z akwariów. Nie mylił się i długo nie czekał nasz doktor. Telefon urywa się po prostu. Trzeba z końca miasta pędzić na drugi do „złotych pacjentów” — tyle jest zwołań do sławnego lekarza. Musiał tedy nająć sobie asystenta, który w dużym mieszkaniu Waterstone’a urządził luksusową klinikę. Dolary sypią się, jak z rogu obfitości.

— Powiedz mi, Jim — pytał go asystent — jak ty w ogóle leczysz te rybki? Nigdy nie miałem okazji obserwować twojej metody leczniczej. Czy ty się w ogóle na tym znasz?

— Owszem. Jak wilk na gwiazdach. Kupuję za 50 centów złotą rybkę, zamieniam ją... z chora, którą wyrzucam i sprawa załatwiona. (n)

Ogłoszenie

Wobec ogromnego napływu młodzieży na wyższe uczelnie władze kwaternkowe zwróciły się do obywateli z prośbą o zgłaszanie wolnych pokoi dla studentów. Uzgodniony to ze swoją żoną, stary woźny uniwersytecki postanawia również wynająć na ten cel jeden pokój. Następnego dnia w prasie pojawia się takie ogłoszenie: „Słoneczny pokój wynajmę studentowi. Łazienka i uniwersytet na miejscu”.

Z CHIŃSKICH BAJEK LUDOWYCH



azu pewnego bogacz pyta biednego:

— Dlaczego odnosisz się do mnie bez szacunku? Przecież posiadam tysiąc złotych monet!

— A cóż mi po tym, że ty posiadasz tysiąc złotych monet? — odpowiada biedny. — Dlaczego miałbym się odnosić do ciebie z szacunkiem?

— Czyż nie powinienesz mnie szanować? — mówi bogacz. — Przecież mogę ci dać połowę moich monet!

— Jeżeli dasz mi połowę swoich monet — powiada biedny — to ja będę miał pięćset i ty będziesz miał pięćset. Dlaczego więc ja i takbym pierwszy wyrażać ci mój szacunek?

— Dobrze — mówi bogaty — ale przecież ja mogę ci oddać cały tysiąc! Czy i wówczas nie okażesz mi uszanowania?

— Jeśli ty mi dasz tysiąc złotych monet — odpowiada biedny — to ja będę miał tysiąc, a ty nic. Czyż więc nie ty pierwszy powinienesz wyrazić mi szacunek?



yl dwaj przyjaciele — dwa wielkie śpiochy. Zdarzyło się, że jeden z nich zaprosił drugiego w gościnę. Ledwie słońce wstało, poszedł gość do przyjaciela. Przychodzi, ale nikt go nie wita, gospodarza nie widać. „Na pewno jeszcze śpi — myśli gość — trudno, poczekam”. Usiadł na dworze, oparł się o ściankę fanzy swego przyjaciela i mocno zasnął. Po pewnym czasie gospodarz wychodzi z domu, widzi, że jego przyjaciel siedzi na ławce i śpi. Nie chciał mu zakłócać snu, usiadł obok i również zachrapał.

Tymczasem słońce stanęło wysoko na niebie i zaczęło mocno przypiekać — gość obudził się. Patrzy — siedzi przy nim gospodarz i śpi. „Nie będę go budził” — pomyślał i znów zasnął.

Czas upływał. Słońce już obniżyło się i zajaśniało prosto w oczy gospodarzowi. Obudził się i widzi, że gość śpi. „Widocznie jeszcze się nie obudził” — pomyślał i znowu zamknął powieki.

Zrobiło się chłodniej — powiał wieczorny wiaterek. Gość budzi się, patrzy — słońce skryło się już za górą. A gospodarz śpi jeszcze mocniej niż przedtem. Gość wstał i oddalił się na palcach, kierując się do siebie do domu.

Na niebo wypłynął księżyc. Naraz gospodarz obudził się. Widzi, że gościa już nie ma. „Napewno poszedł do domu. Trudno — na mnie już też czas. Noc zapada — trzeba iść spać” — pomyślał i wszedł do swej fanzy.

Dokładny

Stanisław Tuiej, długoletni pracownik jednego z prowincjonalnych urzędów, postanowił po raz pierwszy w życiu wybrać się z wizytą do krewnych mieszkających w Poznaniu. Krewni przyjęli go bardzo serdecznie, ale ponieważ nie mieli czasu oprowadzać go po mieście, wręczyli mu plan miasta i objaśnili, co warto zobaczyć. Gość chodząc całymi dniami po ulicach, a gdy po tygodniowym pobycie wyjeżdżał, krewni za pytali go:

— Podobał ci się nasz Poznań?

Na to gość odpowiedział z powagą:

— O tak! Przez kilka dni sprawdzałem według planu ulicę po ulicy i mogę z całą pewnością stwierdzić, że miasto się zgadza!

Wiele sklepów nie przestrzega przepisów, zabraniających sprzedaży alkoholu młodzieży niżej lat 18.



(rys. H. Derwich)

— Widzisz? Mówiłem ci, że przyklejanie wąsów i brody jest niepotrzebne...

MARATON



— Zażył się, że będzie na mecie...



— Taka wystawa, to świetna rzecz, człowiek zupełnie inaczej czuje się potem w terenie. Od razu wiadomo, jak wygląda żyto, a jak owies...

(wg „Krokodyla“)



Richard Drews

Komu śpieszno ziemię gryźć?

(W związku z remilitaryzacją na Zachodzie)

Richard Drews, ur. 1902 w Elms-horn, poeta, satyryk i krytyk literacki, z zawodu kolarz, współpracownik pism satyrycznych w NRD. Autor tomu satyr „Mit gestraubter Feder”.

Jak miło bawić się w żołnierzy,
Pod gradem bomb poleżeć sobie,
W nieprzyjaciela złego mierzyć;
Któż nie chce, syt bojowych przeżyć,
Miejsca w masowym znaleźć grobie?

Cóż, jednak po mozolnym trudzie
Nie kwapią się umierać ludzie,
To nie do wiary!

Któż chodzić nie chciałby o kuli,
Któż nie chciałby z zebraczą torbą
Na starość stać na rogach ulic,
By, za stalowych sprawą królów,
Swej katarynki kręcić korbą?

Cóż to, czy nikt się dziś nie garnie,
By swoją śmiercią wslawić armię,
Czyż to się godzi?

Czy ludzie, którym brak tych chęci,
Są dziś tak ślepi rzeczywiście,
Że nie chcą skóry swej poświęcić,
Czyżby doprawdy ich nie nęcił
Szereg, co pręży się służbiście?

W kolejce nikt nie staje, nikt
Po USA wojskowy wikt...
To nie do wiary!

Przełożył Tadeusz Polanowski